



Chora
psychicznie
matka, ojciec
alkoholik czy
rozbita rodzina.
To niszczy
dzieciaki.
W Goniądzu
starają się
je naprawić.
A co naprawią,
to z powrotem
psuje państwo

Syzyfowe pr

Anna Wittenberg
Klara Klinger

Ogolona prawie na лыso przypomina Sinead O'Connor. Takie samo twarde, wykute doświadczeniem spojrzenie na delikatnej buzi i wielkie szare oczy, które szybko zmieniają wyraz. Kiedy mówi, często się śmieje. Szorstko. Jak gdyby udowadniała, że przecież wszystko jest fajnie. Czasem jednak nerwowo przekrzywia głowę. Tłk zdradza, co fajne nie było.

Fajny nie był na przykład ośrodek dla niegrzecznych dziewcząt, na który skazał ją sąd. – Na podwórku był hydrant, do niego podłączony wąż. Ja z tego węża podlałam raz kwiatki. Wlepili mi trzydzieści punktów karnych. Powiedzieli, że marnuję wodę i że te kwiatki zniszczyłam. I już nie można było przeczytać listu od mamy. „Za tydzień, jak będziesz grzeczna, to sobie przeczytasz” – mówili.

Była wściekła. Także za kraty w oknach. I za pole truskawek uprawiane w ramach zajęć, które miały przywrócić ją społeczeństwu. I za tę rudą panią Bożenę, wychowawczynię, która jej dokuczała. Postanowiła przetrwać do przepustki. Nigdy z niej nie wróciła.

Widok bez krat

Meandrująca powolnie rzeka i jeszcze niezazielenione, sięgające po horyzont zarośla,

z których raz na jakiś czas zrywają się ptaki – Biebrzański Park Narodowy jest na przedwiośniu oazą spokoju. Z takim widokiem codziennie budzi się siedemdziesiąt dziewcząt, które w podlaskim Goniądzu mają nauczyć się prawdziwego życia. Zjechały z całej Polski. Są takie, które pochodzą z Gdańska, Radomia, Olsztyna czy Warszawy. Ale to Goniądz na rok czy dwa lata staje się ich domem. Tu mieszkają. Tu się uczą. Tu dorastają. I albo wychodzą na prostą, albo wpadają w stare koleiny.

Tu spotykamy Sinead, czyli Nikolę. Właśnie obejmuje pięcioletniego Szymona i pomaga mu przyklejać krepinowe kwiatki do wierzbowego patyka. Obok leży pudełko z popcornem, niektóre ziarna trafiają na gałązki, większość kukurydzy wędruje jednak do brzucha przedszkolaka.

– Co to? – Nikola pyta Szymona.
– Wiosenna gałązka – odpowiada rezolutnie przedszkolak.
– A kto jest najlepszy?
– My!

Nastolatki budzą zaufanie maluchów. Dzieci oceniają je po tym, jakie są tu i teraz – radosne, skupione, szukające ciepła. Znajdą się zresztą nie od dziś, przedszkole znajduje się w tym samym budynku co ich internat. Dziewczęta na jesieni robiły razem z dziećmi ludziki z kasztanów. Teraz pracują nad świąteczno-wiosennymi ozdobami. Czasem

pomogą przedszkolakom w przygotowaniu przedstawień.

– Rodzice są zadowoleni, a to najlepszy dowód, że to działa. A nasze dziewczyny przy dzieciach łagodnieją – mówi dyrektor. Nie przeklinają? – pytamy. – Nawet słowo „kurczę” nie pada – odpowiada Moczydłowski. – Czasem odzywamy się grzeczniej niż te maluchy. Jak wracamy do domu, to pierwszego dnia aż oczy ze zdziwienia szeroko otwierają – śmieje się głośno Nadia, jedna z wychowanek.

Filozofia dyrektora jest prosta: łączyć przyjemne z pożytecznym. W przypadku przedszkola dla wychowawczyń to wygoda, bo mają praktyczną pomoc. Dla dziewczyn to terapia. Ale i coś dla powiatu skapnie, bo np. z pieniędzy na MOW dofinansowali poradnię psychologiczno-pedagogiczną. Korzystają z niej wszyscy: dziewczyny z ośrodka, przedszkolaki i uczniowie z lokalnych szkół.

Współpraca z przedszkolem to niejedyny pomysł. W Goniądzu mają technikum. – Ale po co im to, jeżeli by nie było praktyki – pyta retorycznie dyrektor. Więc wysłała uczennice do Bartłowizny – Serca Biebrzy, czyli eleganckiego ośrodka wypoczynkowego nastawionego na przyjazd gości z Anglii, Niemiec. Przyjeżdżają tu oglądać ptaki, przewija się nawet 10 tys. gości rocznie. Dziewczyny mogą pokelnerować w knajpie czy pomóc w kuchni. I znowu: ośrodek korzysta, przede wszystkim kiedy trzeba

zorganizować większe przyjęcie, a one oprócz nauki otrzymują również zaświadczenie o odbyciu praktyk. To się przydaje, kiedy po wyjściu z MOW szukają pracy. Pomagają też w zakładzie fryzjerskim, taki jest profil ich szkoły.

W dwutysięcznym miasteczku wszyscy się znają, więc opcje były dwie: albo wychowanki zostałyby wykluczone, albo mogłyby zacząć współpracę z lokalną społecznością. Dyrektor wybrał to drugie. Łudzi się, że może dzięki temu poczują się mniej inne.

A łatkę przecież i tak już mają. Młodzieżowe Ośrodki Wychowawcze to krok przed poprawczakiem. Trafiają do nich dzieciaki, które wpadają w złe towarzystwo, opuszczają szkołę, mają przygody z alkoholem i narkotykami. Urzędnicy określają to jednym słowem „zdemoralizowały się”. Do MOW kieruje sąd rodzinny, licząc, że dziecko przyswoi sobie tam normy społeczne i nadrobi zaległości w nauce. W Polsce działają 93 takie ośrodki, w ubiegłym roku mieszkało w nich 6 tys. dzieci. Głównie z rozbitych, patologicznych rodzin. Coraz częściej jednak też z dobrych domów, gdzie dzieciom daje się wszystko, poza własnym czasem. Dzieci kierowane do MOW spędzają w nich nawet kilka lat. W praktyce – siedzą do pełnoletności. Jak po cichu przyznają wychowawcy, rodzicom bywa wygodnie, że dziecko przebywa w placówce.

Ośrodkom przyjrzała się niedawno Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Okazało się, że MOW bardzo różnią się między sobą. Niektóre, jak Goniądz, przypominają dom. Inne – nadal trochę więzienie. W Krakowie na przykład za kieszkie sprawowanie można nie tylko zarobić dodatkowe dyżury porządkowe czy stracić prawo do korzystania z wyposażenia ośrodka, ale też dostać zakaz kontaktu z rodziną. W Puławach karą za występki może być przeniesienie do innej placówki. Zresztą nie tylko tam. Do tego MOW w 2013 r. trafiły 44 osoby, wobec których zastosowano taką karę gdzie indziej. Wciąż zdarzają się ośrodki, które mają kraty w oknach.

To jedno z najmocniejszych wspomnień, jakie z poprzedniego ośrodka ma Laura, niemal osiemnastoletnia blondynka z orzechowymi oczami. – Czułyśmy się zamknięte. A i tak dziewczyny uciekały. Kraty nas wkurzały – mówi. I dodaje, że za takie wybryki była odpowiedzialność zbiorowa. Jak uciekła jedna z koleżanek, zwołali je na korytarz i dali szczoteczki do zębów. – Miałyśmy za karę wyszorować nimi podłogę – wspomina i zawięza wzrok na punkcie daleko za oknem. W Goniądzu kraty nie rozpraszają wzroku.

Prof. Marek Konopczyński, specjalista w dziedzinie resocjalizacji: – Tam, gdzie w oknach nie ma krat, wcale nie ma więcej

która tam była, opowiedziała dokładnie, jak wychowawcy głównie sprawdzają, czy truskawki i cebulki są odpowiedniej wielkości. Truskawka zbyt marna, zdechły szczypiorek – punkty karne i zakaz kontaktu z rodziną. Albo nawet nici z przepustki.

Dzieci wiedzą, w których ośrodkach ich nie lubią. Uciekają z nich. W Goniądzu mówią, że jest lepiej. Dlaczego? – Jest mniej zakazów – opowiada jedna z dziewczyn.

Wychowawczynie: – Oczywiście, że wszystkie dziewczyny czasem kłamią, kombinują, tak zostały nauczone. Ale jak jest fajny nauczyciel, to po prostu nie zrobią mu świństwa. I tak nakazami nie da się nic zrobić.

Dlatego potajemnie („jak przyjdzie kontrola, to się wyprzemy”) założyli tu palarnię w byłym schowku. Woła to niż pożar. – Te dziewczyny palą i najpierw skupiamy się na innych sprawach, a jak idzie dobrze, to i za to się bierzemy – przyznaje wychowawczynie.

Drugi powód to więcej zajęć. Dyrektor Goniądza mówi jasno: zajęcia dodatkowe to podstawa, cała tajemnica sukcesu. Dziewczeta nie mogą mieć czasu się nudzić, więc i zajęcia muszą być ciekawe. Robi wszystko, by takie były. Oprócz tańca organizuje konie, rowery, kajaki, żagle, wędkarstwo, malarstwo, ceramikę, piłkę, zajęcia muzyczne, teatralne. Lista jest długa. W sali gimnastycznej powiesili worek treningowy. Kto chce, może przyjść i sobie w niego powalić. Chętnych nie brakuje.

Zwłaszcza wśród tych, które mają za sobą inne ośrodki. Do worka często przychodzi Nikola. Marzy o tym, by iść do szkoły sportowej. I trenować kick-boxing.

Takie worki do ośrodkowej normy nie należą. I to denerwuje Moczydłowski. Nie chodzi o worek. Ale o to, że MOW, które funkcjonują od lat 50., wciąż nie mają jednolitego standardu pracy. W systemie państwowym są lekceważone. Prawie tak jak ich wychowankowie we własnych rodzinach. Sądy kierują tam młodzież, MEN daje pieniądze, Ośrodek Rozwoju Edukacji rozdziela dzieci do ośrodków. Ale nikogo nie obchodzi, co się tam dzieje. Losy wychowanków nie są systematycznie monitorowane. Bo też nikt nie ma w tym interesu. Dla powiatów, które je prowadzą, są kukułczym jajem. Obowiązkiem, za którym nie idzie żaden profit. Zwykle w MOW nie przebywają nawet dzieci z najbliższej okolicy.

W dodatku teraz MOW mają kłopoty. MEN zamiast promować jakoś, od tego roku obciął ośrodkom finansowanie. Placówki mają na karku Urząd Kontroli Skarbowej. Przez niejasne przepisy i sprzeczne interpretacje MEN muszą zwracać przyznane im pieniądze. Goniądz tylko za 2010 r. musi oddać blisko 800 tys. zł – trzecią część rocznego budżetu.

Dyrektor ośrodka od lat walczy o to, by ktoś się nimi zainteresował. Promyk nadziei pojawił się, kiedy pół roku temu sprawą zajął się rzecznik praw dziecka. Pod jego patronatem powstał zespół, który opracował standardy pracy takich ośrodków. W jego skład wszedł między innymi Sławomir Moczydłowski. – Chcielibyśmy określić wzorzec działania, tak żeby każda placówka funkcjonowała na podobnym poziomie. Nieletni, niezależnie od tego, do którego młodzieżowego ośrodka wychowawczego zostanie skierowany, musi mieć zapewnione godne warunki. Każdy ośrodek zaś organizować terapię, współpracę ze środowiskiem lokalnym, kształcenie – podkreśla.

Skąd pieniądze na konie, taniec, żeglarstwo? W części to projekty unijne. – Ale tak naprawdę to przede wszystkim kwestia organizacji. Liczą się przede wszystkim ludzie. Zatrudniam nauczycieli, którzy zarazem są wychowawcami. Każdy z nich ma jakiś talent, którym się dzieli z dziećmi. Na przykład pani Agnieszka, wychowawczynie, uczy sportu. Sama długo ćwiczyła karate. Ktoś wyłapuje talenty muzyczne, pasją innego są wszelkie prace artystyczne.

Do sali na strychu, który niedawno dostosowano do potrzeb mieszkalnych, każda z dziewczyn może przyjść i pomajsterkować. Dziewczyny siedzą i cierpliwie wydrapują elektryczną szlifierką kwieciste wzory na jajkach zafarbowanych cebulowymi łupinami. Pisanki pojedą na konkurs, a nauczycielka liczy, że ich prace wygrają. Znowu.

Choć w ośrodku jest kilka świetlic, a w każdej stoi telewizor, do oglądania znalazła się tylko jedna chętna. Więcej zainteresowanych jest w bibliotece, na ścianie wisi rozpiska – kto ile książek przeczytał. Są takie, które na koncie mają ich ponad 20. Kilka dziewczyn gra w bilard w sali gimnastycznej. Niektóre po prostu siedzą i gadają z wychowawczynią.

Nie zawsze jest cukierkowo. Niedawno jedna z wychowanek nałykała się szpilek. Wciąż zdarzają się kłótnie, intrygi, a nawet bójk.

– Ale tak już jest. My zaś możemy zrobić maksymalnie tyle, ile możemy – kwituje dyrektor.

Bobas z kolkami

– No, zabiję cię! – gimnazjalistka potrząsa lalką i nerwowo klepie ją po plecach. Plastikowy bobas za nic nie chce przestać się drzeć. Dziewczyna w ciągu najbliższych kilku minut spróbuje wszystkiego – przytulania, odkładania, kołysania. Wszystko na nic. Choć dziecko jest sztuczne, twarz młodej „mamy” przyjmuje naprawdę umęczony wyraz. – Ja pierdolę – wyrwa się jej.

Lalki były pomysłem dyrektora. Kilka lat temu kupił je z unijnego projektu. Miały pomóc dziewczynom zrozumieć, jakie konsekwencje będzie miało dla nich urodzenie dziecka, nauczyć cierpliwości. Wbudowany w nie komputer rejestruje każdy ruch, próbę karmienia elektroniczną butelką, czas reakcji na płacz. Po zakończonej opiece można dostać wydruk, który pokaże, co dokładnie działo się w tym czasie. Dziewczynki mają nie tylko informację o sukcesach, mogą też dowiedzieć się, ile razy dziecko im umarło. A to się zdarza. Asia ma lalkę piąty dzień. – Nie chcesz zrezygnować? – Obiecałam sobie, że dotrzmam do końca – odpowiada, poklepując robomalucha. – No, gratulejszynie! – cieszy się, kiedy lalka wreszcie przestaje wydawać dźwięki.

Dziewczynki dostają nawet osobny pokój, w nim wózek. Małe turystyczne łóżeczko i przewijak. Stoi też telewizor, to dla „mamy”. Po co? – Współlokatorce nie mogły znieść czasem płaczu bobasów. Woleliśmy uniknąć konfliktów – uśmiecha się dyrektor. Te najwytrwalsze wybierają sobie piątkę. Piąty program, czyli dziecko z kolkami. Dla początkujących jest jedynka lub dwójka. To łatwe dziecko.

Lalki nie chciała wziąć Justyna. Siedemnastolatka jest w zaawansowanej ciąży – za miesiąc urodzi córeczkę. Nie ona jedna, takich dziewczynek w ośrodku jest obecnie siedem. Marysia obciąga dumnie różowy sweter, ale brzucha jeszcze nie widać, to dopiero drugi miesiąc. Pożycza książkę o tym, co się dzieje w trakcie ciąży. – Dziewczyny często do nas trafiają, już oczekując dziecka. Czasem wracają w takim stanie z przepustki – opowiada wychowawczynie, ale niespecjalnie się tym przejmuje. Takie życie, niektóre sobie lepiej, inne gorzej z tym radzą.

Choć tu akurat jest jeden problem. Jeżeli nikt z dorosłych nie zgodzi się wziąć odpowiedzialności za takie dziecko, to koniec. Chce czy nie chce, dziewczyna musi je oddać do opieki zastępczej. Potem może odebrać, ale to już jest trudne. – Na szczęście u nas nie było jeszcze takiego przypadku. Najczęściej rodzice deklarują, że wezmą odpowiedzialność za dziecko. Czasem chłopak, jeżeli skończy 18 lat – tłumaczy dyrektor. Justyna jeszcze jednak nie postanowiła, czy zostawi dziecko. Może sama je odda.

Co roku państwo polskie odbiera młodocianym matkom 60 maluchów. Alternatywa jest prosta – wystarczyłoby stworzyć dwa ośrodki wspierające bardzo młode mamy. Tak sprawę rozwiązałiby choćby Czesi.

Jedna na dwanaście

Dziewczyny siedzą w kółku, zdążyły uprzątnąć świetlicę po zajęciach z przedszkolakami. Majka zamiotła. Nadia zrobiła herbatę. Częstują nas sernikiem. Dzielią się obowiązkami, bo już są do tego przyzwyczajone. Mają dyżury i same sobie gotują. W weekendy robią obiady, w ciągu tygodnia śniadania i kolacje. Muszą znaleźć kompromis, dogadać się, co kto lubi. Przeliczyć budżet. – To superważne, bo w wielu ośrodkach jest tak, że dzieci wszystko dostają, przyjeżdża catering. A jak pracowałam na usamodzielnieniu (chodzi o mieszkania w celu stworzenia etapu przejściowego między placówką a pełną samodzielnością – red.), zobaczyłam, jak to działa. Dlatego wprowadziłam tu tutaj – opowiada wychowawczynie.

Prof. Konopczyński nie ma wątpliwości: – Trzeba odejść od systemu, gdzie się im wszystko podaje jak na tacy. W placówce, gdzie dziecko dostaje pokrojony chleb, plasterki wędlin i wydzieloną kosteczkę masła, nie uczy się życia. Kiedy wychodzi, nie umie sobie zrobić zakupów. Nie wie, ile kosztuje ser. Staje się klientem pomocy społecznej. Jedyne, co umie zrobić, to domagać się zaspokojenia jego potrzeb. Tymczasem pobyt w placówce powinien mieć inny cel – wspieranie rozwoju.

Podział zadań wpływa też na atmosferę w ośrodku. Dziewczeta mówią – prawie jak w rodzinie. A na pewno spokojniej. Za każdą z nich stoi przecież jakiś dramat. Jedną z dziewczynek do ośrodka skierowała matka. Nie umiała sobie poradzić. Inną wychowywał ojciec. Nie dał rady. W większości rodzin było picie. Przemoc. Wykorzystywanie. Ale tęsknią

za rodzinami. Bardzo. W ośrodku, niezależnie, jaki by był, zawsze będą na zsyłce, choć woła, by była jak najmniej dotkliwa. Gosia, nazywana przez dziewczyny panią G., przyznaje, że czasem telefon od rodziców wyprawada nastolatki z równowagi. Ale odbierają. Chcą wiedzieć, czy matka się nie zapła. Czy rodzeństwo jest całe i zdrowe – czują się odpowiedzialne. – Nieraz musiały ratować siostre czy brata, no rodzice tak zabalowali, że zapomnieli o dziecku w wannie – przyznaje.

Największy dramat jest, kiedy nikt nie zadzwoni, jak tygodniami nie przychodzi paczka czy list. – Dlatego uważamy, że byłoby absurdem zakazywania im tych kontaktów – dodaje pani G. Od poniedziałku do piątku dziewczeta mają na nie czas między 15 a 18. W weekendy dłużej. W innych ośrodkach zdarza się, że dziewczyny mogą dzwonić przez pół godziny. – W jednym to był tylko aparat na korytarzu i ograniczali do 10 minut – wyrwa się z Nikoli.

– Za co tu trafiłyście? – pytamy.
– A, nieważne.
– Jakiego narkotyki?
– Ja nie wiem, co to słowo znaczy – śmieje się głośno Nadia, uderza łokciem Nikolę. Znacząco. 4 sierpnia kończy 18 lat. Ładna, z niskim głosem i ciemnymi włosami ściągniętymi w kucyk. Na nogach adidas, na T-shirt zarzucona czarna bluza Nike. Nie boi się zadawać pytań. Sama przyznaje, że to wszystko przez złe towarzystwo. – Demoralizacja i bach. Jestem tu – mówi. – Najpierw byłam w pogotowiu opiekuńczym. Pewnego ranka po mnie przyjechali. Nigdy nie mówią o tym wcześniej, bo boją się ucieczek. Nie zdążyłam się nawet pożegnać z mamą, zadzwoniłam do niej z drogi – opowiada.

– Nie opuściłam aż tak wielu godzin, a i tak mnie tu przywieźli – tłumaczy nieśmiało Majka, która do Goniądza przyjechała kilka miesięcy temu. Spokojna, niebieskie oczy, blondynka, włosy ściągnięte w kucyk. Nie wygląda na swój wiek. Tłumaczy, że to tak naprawdę wszystko przez dziadka, bo w domu było bardzo dużo awantur, a on to zgłosił do pomocy społecznej. No i przyznali jej kuratora. – Jak się złościłam, nie mogłam się opanować. Rozwalałam meble, różne rzeczy – opowiada i dodaje, że okropnie tęskni za domem. Ponieważ dobrze się zachowuje, to ma nadzieję, że wróci od czerwca do siebie. Zdecyduje sąd.

Nikola siedzi za rozbój. Niewiele mówi o domu. Choć jest wdzięczna mamie, że po ucieczce z poprzedniego ośrodka pomogła jej dostać się do Goniądza. Sama wyszukała MOW w internecie, miała dobrą opinię. Kiedy przyjechała, wychowawcy trochę się jej bali. Stara wyjadaczka z innych ośrodków, a takie to umieją kombinować. Ale okazało się, że choć w życiu widziała niejedno, to ty jakby się wysciszyła. Jest w niej jakaś pozytywna energia.

Lubi muzykę. Czego słucha? – A zna pani polski rap? E, to nie ma sensu mówić – macha ręką, kiedy zaprzeczamy. Wracając z Goniądza, odrobimy lekcję.

Zobacz wokół siebie, co się dzieje dookoła. Życie zmusza do tego, by przerywana była szkoła. Życie zmusza do nagłej zmiany swoich planów. Gdzie znajduje się dążenie, do własnych ideałów. Do ciągłej kombinacji, do tego zmusza życie. Każdy wie, jak tutaj jest, przecież widzicie i słyszyście.

Przyszłość dziewcząt z Goniądza jest niepewna. Pani G. mówi, że jeśli na prostą wyjdzie jedna na dwanaście to sukces.

Laura, co szorowała szczoteczka podłogę, w ogóle zerwała kontakt z siostrą i mamą. Myśli o tym, co zrobić, żeby zostać w ośrodku po skończeniu 18. roku życia. To problem, bo w Goniądzu nie ma już drugiej klasy liceum. Kombinuje, żeby przeprowadzić się do sąsiedniego Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii i dojeżdżać do szkoły do odległych o 10 km Moniek.

Nadia wierzy, że jej się uda na zewnątrz. Zerwała kontakt z towarzystwem, przez które się tu znalazła. Jak wyjeżdża na przepustkę, nie dzwoni, nie pisze.

– No, pochwal się – przypomina jej wychowawczynie. Może zostanie objęta raczkującym programem mieszkań socjalnych dla dziewczyn po resocjalizacji. Jeszcze nie wiadomo. – Nawet jak mi się nie uda dostać, to sobie poradzę – mówi. – Pójdę na resocjalizację i będę pracować w zakładzie zamkniętym. Czuję, że sobie poradzę – przekonuje. Wiele wychowanek chce po usamodzielnieniu się pomagać tym, którym życie dało w kość.

Bo w Polsce nie ma żadnego spójnego systemu, który wspierałby takie dziewczeta w samodzielnym życiu. Większość po pobycie w ośrodku wraca na stare śmieci.

W tekście wykorzystaliśmy fragment utworu Dudek RPK „Życie zmusza”. Imiona i niektóre fragmenty biografii dziewcząt zostały zmienione

ace

ucieczek niż tam, gdzie kraty są. Jak spotykam się z dyrektorami, którzy prowadzą takie MOW, to pytam:

– Panie dyrektorze, ma pan kraty. Uciekają?
– No zdarza się.
– A czy organizuje pan dla nich zajęcia na zewnątrz? Pływanie jachtem? Wycieczki? Wyjścia w góry?
– Oczywiście.
– A czy wtedy uciekają?
– Nie!

To niech pan sobie odpowie na pytanie, gdzie tkwi przyczyna.

Konie, taniec, żeglarstwo

Ośrodki kojarzą się źle. Ale to, zdaniem tych dyrektorów, którym się chce wprowadzać zmiany, wina kierowników placówek. Część z nich nadal działa jak w latach 80. i 90., kiedy wiele z nich funkcjonowało jak małe więzienia. Zdaniem Moczydłowskiego wiele osób powinno w końcu zrozumieć, że tak się nie da. Tym bardziej że wtedy wiedzę o tym, jak jest w ośrodkach, wychowankowie przekazywali sobie pocztą pantoflową. I chwilę to trwało. Teraz jest internet. Dzięki Facebookowi przyjeżdżający wiedzą już wszystko o nowym ośrodku. Łącznie z imionami wychowawców oraz listą ich słabych i mocnych stron.

Na przykład z Goniądza nikt już nie chce jechać do ośrodka na północy kraju. Nikola,